

Ironiczny uśmiech Balladyny

AUTOR: ŁUKASZ GAZUR

Zarysowane przez Pawła Świątkę propozycje tropów interpretacyjnych urywają się w połowie drogi, giną w gąszczu biegnącej akcji, prawie wcale nie wybrzmiewają. Stają się tylko ilustracją fabuły, nic właściwie nie dopowiadając.

TEATR
IM. JULIUSZA
SŁOWACKIEGO
W KRAKOWIE

Balladyna
Juliusza Słowackiego

opracowanie tekstu,
reżyseria
Paweł Świątek
scenografia, kostiumy,
światło
Marcin Chlanda
muzyka
Dominik Strycharski

premiera
7 lutego 2020

Na pierwszym planie
od lewej:
Katarzyna
Zawiślak-Dolny
[Balladyna],
Alina Szczegielniak
[Alina]



■ Jesteśmy w świecie po ekologicznej apokalipsie. To śmietnik historii. Nawet jezioro Gopło już wyschło. Wszechobecny jest za to beton, który pokonał naturę. Amfiteatralnie ułożone schody pochłaniają niemal całą przestrzeń sceniczną. Ta kompozycja przywodzi na myśl teatr grecki. Albo salę sejmową. I oba skojarzenia osadzone są w obszarze interpretacyjnych zainteresowań reżysera, Pawła Świątka.

Z jednej strony mamy do czynienia z teatrem, widownią, na której jednak rozgrywa się cała akcja. I ten pomysł nie powinien dziwić. Bo – jak to w wypadku dyskusji o przejmowaniu i utrzymaniu władzy w demokracji – w centrum zainteresowania powinien pojawić się populus. „Całość obywateli”. Czyli tych, którzy zaplaniają widownię. To zabieg, który pomaga skleić pomysł reżysera z tekstem Juliusza Słowackiego. Świątek chce pytać swoim spektaklem o to, dlaczego „do władzy dochodzą osoby niewłaściwe”. Problem w tym, że trzeba przebudować w warstwie interpretacyjnej to, co zapisał Słowacki. W jego tekście władza jest pochodną urodzenia bądź intrygi. W oczywisty sposób nie przystaje do czasów demokracji. Nawet tej, która przeżywa kryzys. Stąd pomysł nie na uwspółcześnienie spektaklu, ale na przeniesienie go z krainy Popiela w niedaleką przyszłość. Świątek chce być scenicznym prorokiem. To dlatego właśnie przyglądamy się wspomnianemu światu klimatycznej katastrofy. I rzeczywistości, w której wśród śmieci pogrzebano już demokrację. Pozostałością jest tylko owa pusta sala sejmowa. Diagnoza jest oczywista: brak miejsca w polityce dla obywateli, głosu suwerena, prędzej czy później rodzi zdegenerowany system. A może ten demokratyczny ustrój nigdy tak naprawdę nie istniał? Był iluzją skrojoną na potrzeby tłumu? Tak czy inaczej – mamy do czynienia z władzą absolutną, tyranią wykrzywioną przez ludzkie pożądanie, chciwość, zazdrość. „Każda władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje w sposób absolutny” – jak twierdził w XIX wieku John Acton.

W tak poskładaną wizualnie rzeczywistość sceniczną Świątek wpycha kolejnych bohaterów Słowackiego. Kirkor (Marcin Sianko) ma w sobie coś z nieco głupkowatego polityka, żyjącego dzięki poklaskowi tłumów i głosowi ludu. Nawet wybór żony zdaje się być przepisem na polityczny sukces. Przepisem nieudanym – to inna sprawa.

Fon Kostryń (Rafał Szumera) jest tu szefem ochrony polityka. Stanie w drugim szeregu przestaje mu wystarczać. Za odsłużone lata

chce wreszcie czerpać profity. Jego ciemne okulary kryją więc cynizm i żądzę władzy.

Na opuszczonych stopniach amfiteatru przysiadła Pustelnik (Rafał Dziwisz). Człowiek trzymający się z dala od ludzkich spraw. Zaszywa się w... kinie. Ono staje się jego miejscem odosobnienia. Sam na sam z nieśmiertelną *Casablanką*. Czyli filmem *noir* o konflikcie moralnym, o człowieku zatrzaśniętym między miłością a polityczną powinnością. W oczywisty sposób można dostrzec tu rym z *Balladyną*.

Do tego oczywiście dwie siostry. Alina (Alina Szczegielniak) i Balladyna (Katarzyna Zawisłak-Dolny). W tej rywalizacji, wbrew rozwojowi akcji w dramacie Słowackiego, wygrywa kreacja Aliny. Zamiast sztapowej „słodkiej niewinnej” mamy do czynienia z kobietą – owszem – miłą, ale jednak nie stroniącą od ironii i słownych kuksańców, który-

W rywalizacji sióstr wygrywa kreacja Aliny. Zamiast sztapowej „słodkiej niewinnej” mamy do czynienia z kobietą – owszem – miłą, ale jednak nie stroniącą od ironii i słownych kuksańców, którymi obdarza Balladynę.

mi obdarza siostrę. Balladyna wypada blado. Mimo próby rozegrania jej postaci między pogonią za władzą a wyrzutami sumienia, trudno tu dostrzec cały koloryt, jaki drzemie w tej kobiecie. Katarzyna Zawisłak-Dolny tym razem porusza się w dość oczywistych i mało zróżnicowanych rejestrach. Wydaje się, że główna bohaterka ciekawsza jest na kartach dramatu Juliusza Słowackiego niż na scenie krakowskiego teatru jego imienia.

Ciekawą kreacją jest Matka (Marta Konarska). To rodzicielka, której każdy by się wstydził – nie tylko przyszła królowa. Irytująca, nieokrzesana, dostrzegająca potencjalne zyski w zamążpójściu córki. A na koniec staje się figurą uciemiężonej ofiary władzy, która nie oszczędza nikogo.

Jednym z ciekawszych obszarów poszukiwań nowych sensów Świątka i jego ekipy mogło być wyjęcie z baśniowego świata Goplany i spółki. Ich rzeczywistość, diametralnie inna od środowiska ludzi, ukazana zostaje na scenie jako przestrzeń queerowej swobody, wolności, ekspresji. Tu świadomie stosowany jest kicz. Zarówno sama Goplana (Dominika Bednarczyk), jak i jej dwóch pomocników (Skierka

– Karolina Kazon i Chochlik – Natalia Strzelecka) stają się w spektaklu *drag queens*, nieoczywistymi płciowo i tożsamościowo postaciami „z innego świata”. Zakazana miłość nabiera tu więc dodatkowo bardzo aktualnego kontekstu. Potęguje go jeszcze fakt, że Grabcem w ujęciu Świątka jest Marta Waldera. Nic w tej miłości nie wydaje się oczywiste, a takie podejście mogło dać impuls do bardzo interesującego rozegrania *Balladyny*, rozstawienia na nowo akcentów, wydobywania innych, niedostrzeganych warstw znaczeń...

Niestety, ten wątek dobrze pokazuje największy problem krakowskiego spektaklu. Zarysowane przez reżysera propozycje tropów interpretacyjnych urywają się w połowie drogi, giną w gąszczu biegnącej akcji, prawie wcale nie wybrzmiewają. Stają się tylko ilustracją fabuły, nic właściwie nie dopowiadając. Po pierwszym szoku, złapaniu na haczyk za-

ciekawienia, nagle zdajemy sobie sprawę, że niewiele już może się tu wydarzyć. Namnożone na początku pomysły szybko się wyczerpują, stają się wizualną atrakcją bez głębszego znaczenia. Zaczynają nużyć. Mimo że mamy do czynienia z ciekawie wymyślonymi postaciami, zamiast zarysowanych konstelacji powiązań między bohaterami widzimy tylko pojedyncze meteory przelatujące przez scenę. Wyjątkiem są tu nimfy, które stają się bardzo zgrabnie powiązaniem trio. Poza nimi praca aktorska idzie właściwie na marne. Jakbyśmy oglądali seryjny monodram. Trudno też doszukać się uzasadnienia dla takiego, a nie innego skrojenia niektórych postaci.

Nim zakończy się spektakl, zapada wyrok. Burza, która miała się rozpętać, wbrew oczekiwaniom nie nadchodzi. Ciemna chmura nie przynosi deszczu oczyszczenia. Zostajemy z tą ciężką atmosferą zawieszoną nad światem, w którym zabrakło już miejsca na demokrację. I to chyba najważniejsza przestroga płynąca ze spektaklu Świątka: bez obywateli i ich miejsca w polityce władza jest bezkarna. I może realizować swoje plany, likwidując kolejnych przeciwników – z ironicznym uśmiechem Balladyny. ■